

W NUMERZE

POLITYKA 20/15.05–21.05.2013

TEMAT
TYGODNIA

- 12 Agnieszka Oleszkiewicz,
Piotr Pytlakowski
Śmieciowe absurdy
16 Jacek Żakowski
**Na co komu
taka edukacja?**

POLITYKA

- 19 Wojciech Szacki
**Kogo ciągnie
do Brukseli**

KRAJ

- 22 Edyta Gietka
**Alzheimer:
jak się przygotować**
26 Agnieszka Sowa
Lesbijki z wyboru
30 Marcin Kołodziejczyk
**Była kamienica
i nagle jej nie ma**
32 Joanna Cieśla
**Zamienione
bliźniaczki:
historia prawdziwa**

RYNEK

- 34 Adam Grzeszak
Kto trzęsie energetyką

ŚWIAT

- 38 Roman Frister
**BLISKI WSCHÓD
Dlaczego Izrael
bombarduje Syrię?**
41 Marcin Wojciechowski
**ROSJA
Aleksiej Nawalny
– dobry nacjonalista**
44 Tomasz Zalewski
**USA
Mało republikański
republikański Chris
Christie**

HISTORIA

- 46 Andrzej Romanowski
**IPN podważa legendę
rotmistrza Pileckiego**
50 Marek Henzler
**Co można wyczytać
z chorągwi**

NAUKA

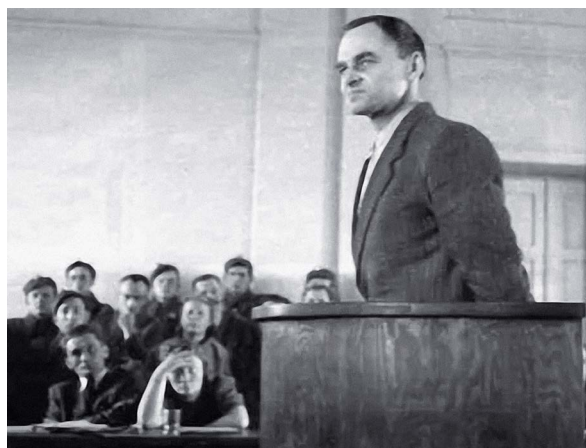
- 54 Jarosław Chrostowski
**Doskonalenie chemii
matematyką**
57 Paweł Walewski
**Polska szczepionka
na ptasią grypę**



12 Niezyciowa ustawa śmieciowa



16 W szkole trzeba zmienić wszystko



46 Tajemnica Witolda Pileckiego



116 Supermarka Beyoncé



PIĘĆSETKA
POLITYKI

59 Dwudziesta Lista 500

NAUKA

- 84 Edwin Bendyk
Sieć sieje zamęt

KULTURA

- 92 Piotr Sarzyński
**NAGRODA
ARCHITEKTONICZNA
POLITYKI**
96 Rozmowa z pierwszą
osobowością
rosyjskiego teatru
**Konstantinem
Bogomołowem**
98 Dorota Szwarzman
**Muzyka żydowska
na różne nuty**
101 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
102 Bartek Chaciński
Talent show-biznes
105 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

106 PORADNIK BUDOWLANY

LUDZIE I STYLE

- 116 Mariusz Herma
**Beyoncé – więcej niż
piosenkarka**
120 Agnieszka Zagner
Prywatny Picasso
124 Ryszard Wolff
**Olimpiakos Tarnogród,
Inter Gnojnic,
Galakticos Solna,
czyli Liga Mszczów**

NA WŁASNE
OCZY

- 132 Mariusz Surosz,
fotografie Mariusz Surosz
i Agnieszka Anzenberger
**Czechom wraca
pamięć o Niemcach
sudeckich**

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie
i wydarzenia • 88 Afisz
• 126 Passent • 127 Tym
• 128 Hartman • 129 Do i od
redakcji • 130 Fusy, plusy
i minusy • 138 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

www.mleczeko.pl

felieton



sławomir mizerski z życia sfer

Ile jest człowieka w Polaku

Zdaniem arcybiskupa Michałika, wśród Polaków zanika patriotyzm, miłość ojczyzny i „pewoli umiera człowiek w człowieku”. Zanik człowieka w człowieku arcybiskup wiąże z „zanikiem poczucia godności Polaka”, co pokazuje, że Polak jest najbardziej skondensowaną i esencjonalną postacią człowieka, a człowiek o obniżonej zawartości Polaka to karykatura i człowieka, i Polaka. Specjaliści z Centrum Zdrowia Matki Polki i Ojca Polaka potwierdzają, że pacjentów z objawami niedoboru Polaka przybywa. Przyznają jednak, że bardziej niż zanik Polaka w człowieku niepokoi ich zjawisko narastania Polaka w Polaku.

- To skutek zanieczyszczenia środowiska toksycznymi politykami. U niektórych badanych wyso-

kie stężenie Polaka w organizmie doprowadziło do spowolnienia procesów myślowych. Ludzie ci nie potrafią powiedzieć, kim są, poza tym, że są Polakami. W organizmach niektórych pacjentów zawartość Polaka przewyższyła już zawartość człowieka – ubolewa dyrektor Centrum.

Jakie są objawy?

– Bolesne nadęcia, ataki samouwielbienia na tle martyrologicznym, zafiksowanie na tragicznej przeszłości, przewlekłe uniesienie połączone z kontemplacją własnej wyjątkowości. Do tego okresowa pomrocność wywołana ciągłym unoszeniem się honorem, patosem, połączone z urojeniami, ponuractwo i zaburzenia percepcji sprawiające, że w innym człowieku nie widzi się człowieka, tylko Niemca, Ruska, Roma, a zwłaszcza Żyda.

– Jak podwyższona zawartość Polaka w człowieku wpływa na stosunek do pracy?

– Osobie o zbyt dużej zawartości Polaka nie wystarczy, że robi swoje. Ona chce dać coś od siebie Europie, świa-

tu. A jak świat tego nie docenia albo nie potrzebuje, robi się agresywna, oburza się, ma za złe, w efekcie czego odkrywa jakiś antypolski spisek.

– W jaki sposób możemy obniżyć poziom Polaka w Polaku?

– Na początek zalecałbym odstawienie alkoholu, niepokornych, ciężkostrawnych tygodników, unikanie patriotycznych wzruszeń podczas miesięcznic, marszów i mszy za ojczyznę oraz niezdrowego podniecenia na widok narodowej flagi. Ważne jest jak najczęstsze przebywanie na świeżym powietrzu, grillowanie i haratanie w gałę do upadłego.

Na koniec mój rozmówca przyznał szczerze:

– Zapewniam, że nawet osoby z przekroczonym poziomem Polaka w Polaku mogą normalnie żyć pod warunkiem, że nie będą tego Polaka niepotrzebnie w sobie wzbudzać. A jeśli sam się wzbudzi, doradzałbym wypróbowane metody z zakresu domowej medycyny.

– Bańki?

– Raczej lewatywę.



Do 4% dla 10-letnich
Obligacji Skarbu Państwa.

www.obligacjeskarbowe.pl

Infolinia:

801 310 210

+48 81 535 66 55

Opłata jak za połączenie lokalne.

Kupuj Obligacje Skarbu Państwa
i zarządzaj nimi przez Internet.

Załatwiał wszelkie formalności, składaj dyspozycje lub zmieniaj dane bez wychodzenia z domu. Obligacje możesz też kupić w oddziałach PKO Banku Polskiego i przez telefon.

[Kup książkę](#)



MINISTERSTWO FINANSÓW

**OBLIGACJE
SKARBOWE**

BEZPIECZNY ZYSK

Zegarek Nowaka, czas Tuska

Mariusz Janicki

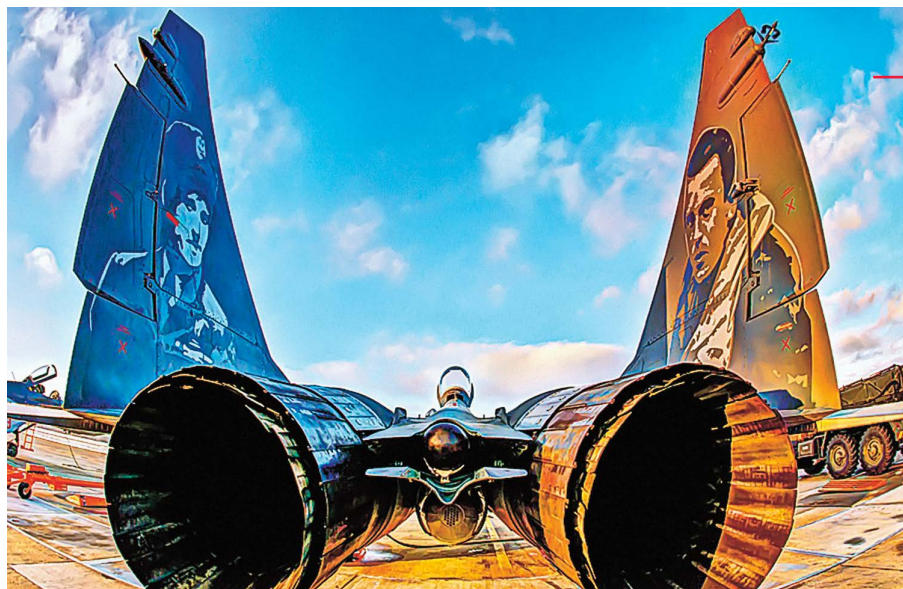


Ponieważ premier Tusk wciąż odkłada większe zmiany w rządzie „do lata”, rekonstrukcja jego gabinetu dokonuje się sama, na dziko. Premier ma tak, jak chciał: reaguje na bieżące problemy. Zamiast dokonać planowej, wygranej piarowo wymiany części drużyny i wykorzystać to jako paliwo na resztę kadencji, występuje w roli strażaka wyjeżdżającego do pożarów. Tak się zresztą składa, że niemal wszystkie publiczne kłopoty wiążą się z ministrami, którzy już w momencie nominacji budzili zdziwienie, ale uchodzili za wybranych w ramach głębszej, autorskiej koncepcji premiera.

Nie powiódł się eksperyment z Jarosławem Gowinem („pozytywna szajba”), odejść musiał Mikołaj Budzanowski („młody”), funkcję zmienił inny młody, Jacek Cichocki; od wielu miesięcy krytykowany jest Bartosz Arłukowicz. Ale teraz pojawiły się najbardziej jaskrawe przykłady. Kosztowne zegarki ministra Sławomira Nowaka, wymieniane z kolegami, nawet jeśli nie są jeszcze dowodem korupcji (ten wątek bada CBA), to na pewno są dowodem infantylizmu. To nie jest „fajne”, ale niemądre; potwierdza wizerunek Platformy jako grupy ludzi zbyt wyluzowanych, beztroskich, żeby nie powiedzieć nonszalanckich, którym wszystko uchodzi na sucho, bo za rogiem czyha Kaczyński. A już akcja – z pomocą mającego własne polityczne ambicje Romana Giertycha – ze strażeniem tygodnika „Wprost” 30-milionowym odszkodowaniem

może przynieść samemu Tuskowi niepowetowane polityczne i wizerunkowe straty. Padły przykre zarzuty, minister Nowak powinien na nie szczegółowo i wiarygodnie odpowiedzieć, a nie arogancko grozić likwidacją gazety. Podobnie jest z usilnie bagatelizowaną przez minister sportu Joannę Muchę kwestią finansowego wsparcia ze środków publicznych komercyjnego przedsięwzięcia – koncertu Madonny.

Powiedzmy jasno, w obu tych przypadkach (tak by było w wielu krajach) powinny nastąpić dymisje. Minister to trochę funkcja sapera: nieważne, ile min wcześniej rozbroił (i ile zakopał), wylatuje na tej ostatniej. Nietrafione, ale uporczywie podtrzymywane przez premiera nominacje coraz bardziej ciągną go w dół partyjnych sondaży i rankingów zaufania. Wszystkie wpadki, nieudolności, głupie słowa, przejawy niekompetencji zaczynają się w końcu sumować. Rządu Tuska nie położyły afery duże, jak hazardowa czy Amber Gold, ale mogą go pograć przypadki pozornie mniejsze, rozstrzelone, ale bardzo istotne dla obrazu władzy. Sprawy Nowaka i Muchy są znacznie poważniejsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje, bo ilustrują wszystkie złe opinie o rządzie, powtarzane, z oczywistą przesadą i złą wolą, przez prawicową opozycję. Jeżeli premier sam nie dokona szybko oceny i odnowienia swojego gabinetu, niedługo nie będzie czego rekonstruować.



Mig-29 z portretami kapitana pilota Bolesława Gładycha

Wojtek Matusiak, jeden z pomysłodawców projektu. Pierwsze samoloty ze skrzyżowanymi kosami na tle białoczerwonych pasów latały już w 1919 r. Walczyli na nich zarówno Polacy, jak i amerykańscy ochotnicy, którzy wspierali Polskę w walce o niepodległość. Dlatego na stateczniku Migów znajdują się również podobizny dwóch amerykańskich pilotów. Jednym z nich będzie major Cederic Fauntleroy, dowódca eskadry kościuszkowskiej w latach 1919–20. Z kosami wymalowanymi na kadłubach latali również piloci najslawniejszego polskiego Dywizjonu 303. To spośród nich wybrano najwięcej postaci, które ozdobiły współczesne myśliwce. – *Kiedy malowaliśmy podobiznę Mariana Pisarka, jeden z techników wyznał, że nie ma pojęcia, kto to był – dodaje Wojtek Matusiak. – Następnego dnia pochwalił się, że sprawdził w Internecie i to super, że na samolocie będzie zdjęcie takiego fajnego faceta. O takie reakcje właśnie nam chodziło.*

Za stronę graficzną przedsięwzięcia odpowiada Robert Gretzkyngier. Za nowe malowania wojsko nie zapłaciło ani złotówki. Farby i szablony bezpłatnie przekazały dwie firmy z Kielc i Warszawy. Wszystkie prace pomysłodawcy projektu wykonali za darmo z pomocą wolontariuszy. Ozdobione samoloty będzie można oglądać 25 maja, podczas dnia otwartego 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. (JUL)

Kosynierzy jak malowani

Urbanowicz, Horbaczewski, Krasnodębski, Ferić i kilku innych asów polskiego lotnictwa myśliwskiego znów wzbilo się w powietrze. Tym razem tylko symbolicznie. Od roku na statecznikach samolotów Mig-29 z Mińska Mazowieckiego grupa fascynatów maluje kolejne portrety zasłużonych pilotów. Pomysł i jego wykonanie tak się spodobało, że dowódca Sił Powietrznych zgodził się na ozdobienie wszystkich mińskich Mig-29. Tym bardziej że jak się

okazało, regulamin właściwie tego nie zabrania. Wojskowe przepisy opisują tylko barwy, jakie należy zastosować w kamuflażu samolotów. Nie mówią, jakiego kształtu mają być jego plamy. W związku z tym pomysłodawcy wykonali portrety utrzymane w kolorystyce kamuflażu.

– *Najwięcej kłopotu mieliśmy z wyborem postaci. Jednostka od prawie 20 lat kultywuje tradycję formacji kościuszkowskiej, więc pilotów wybieraliśmy z jej szeregów – mówi*

Pogoda dla bezkompromisowych

Nie kandyduję do Parlamentu Europejskiego, ale za rok może będę kandydował – tak brzmiało najbardziej kompromisowe zdanie w polskiej polityce w minionym tygodniu. Wypowiedział je polityk znany jako mistrz kompromisu, czyli Aleksander Kwaśniewski, rozstrzygając w ten sposób bardzo istotny spór, jaki powstał między Ryszardem Kaliszem a Markiem Siwcem. Wcześniej obaj panowie wymieniali publicznie oświadczenia. Siwiec twierdził, że Kwaśniewski kandyduje do PE, Kalisz – że nie kandyduje, dając jednocześnie do zrozumienia, że jeśli idzie o zamiary b. prezydenta, on jest jego lepszym przyjacielem i tym samym wie najlepiej. Nie wiem, czy z tego kompromisu panowie są zadowoleni. Być może wpisuje się on w polską tradycję „zgniłych” kompromisów, ale trudno nie zauważyć, że Kaliszowi idzie jakoś marnie. Najlepszy przyjaciel powinien powiedzieć mu: Ryszardzie, nie idź tą drogą! Kalisz robi, co może, by istnieć i zwracać na siebie uwagę, ale straci funkcję przewodniczącego sejmowej komisji sprawiedliwości. Mylił się, sądząc, że ma taką pozycję, iż nikt go nie ruszy, a nawet nikt nie będzie śmiał po jego miejsce sięgnąć. Ruszy go Miller, a chętnych do objęcia funkcji nie brakuje. Media też mogą stracić zainteresowanie, bo wprawdzie Kalisza jeszcze lubią, ale ile razy można pytać, czy Kwaśniewski będzie kandydował? Nowy byt polityczny Wspólny Dom – Polska również nadmierne go zainteresowania nie wzbudził, bo czas taki, że wszyscy oczekują inicjatyw bardziej poważnych i rozwiniętych, a w aliansie Kalisza z Kamilem Sipowiczem jakoś politycznego wabika nie czuć. Tak więc filary, które Kalisz chce budować nie tylko pod Wspólny Dom, ale także w następnym kroku pod Europę Plus, sypią się, ledwie rozpoczęto budowę.

Kompromisowe rozstrzygnięcie Kwaśniewskiego może być jednak wzorem, ponieważ w żadnej innej politycznej kwestii nawet takiego kompromisu nie udało się wypracować. Sejm uchwalił ustawę, która może, o ile kiedykolwiek wejdzie w życie, przywrócić sądy rejonowe tam, gdzie b. minister Jarosław Gowin zmienił je w wydziały zamiejscowe. Decyzja Gowina nie tylko zagraża ponoć niezawisłości sędziowania, ale ma wręcz spowodować degradację cywilizacyjną polskiej prowincji, czemu przeciwstawia się PSL, a wraz z nim cała opozycja, sędziowie i bardzo wiele środowisk. Nie bardzo wprawdzie wiem, dlaczego prezes sądu, przestając być nominalnie prezesem, traci od razu funkcję kulturotwórczą i wypada z układu lokalnej elity? Skoro jednak Sejm w swej zbiorowej mądrości uznał, że tak jest, to właściwie trudno protestować. Radość na sali po głosowaniu mogła wpływać z dwóch źródeł: że uchwalono ustawę wyjątkowo idiotyczną (zakreślone dokładnie obszary działania sądów będzie można zmieniać tylko ustawą), co być może jakoś posłów bawi, i drugiego, że zrobiono to na złość Tuszkowi, który w pełni stanął za Gowinem, co może być rodzajem rekompensaty za dymisję. Oczywiście już wkrótce będziemy bawić się dalej, bo Senat, w którym Platforma ma większość, rzecz zmienni, Sejm poprawki Senatowi odrzuci, potem ustawa powędruje do prezydenta, który albo ją zawetuje (a do odrzucenia weta głosów zabraknie), albo prześle do Trybunału Konstytucyjnego. W każdym razie takiego buba, nawet jeśli ma naklejkę „obywatelski”, z pewnością łatwo nie podpisze, co już dawał do zrozumienia.

Idad tropem niemożliwych kompromisów, warto zauważyć, że już od początku zespół Macieja Laska nie może osiągnąć żadnego,



choćby wstępnego, porozumienia z ekspertami Macierewicza od smoleńskiego zamachu. Zespół Laska poprosił grzecznie ekspertów Antoniego Macierewicza o udostępnienie ich

materiałów, aby przygotować się do ewentualnej dyskusji, do czego przecież był nieustannie zachęcany. Komisja Millera położyła wszak papiery, czyli swój raport, na stole, niech wyznawcy zamachu połączą swoje, zwłaszcza że z każdym dniem liczba wybuchów rośnie. „Żadnych warunków wstępnych” – odpowiedział, jak rozumiem w imieniu ekspertów, Macierewicz. I już wiadomo, jaka jest możliwość rozmowy. Zamach jest kwestią wiary, a nie naukowych dowodów. Że Macierewicz kompromituje swoich ekspertów, nie ma najmniejszego znaczenia. Są, dopóki są potrzebni, a tam, gdzie zaczyna się polityka, niech milczą. Zresztą w ich przypadku milczenie akurat jest złotem.

Nawet nie wiem, czy wypada jeszcze rozważać możliwości kompromisu w sprawie ustawy o związkach partnerskich w samej PO. Czy w klubie powstanie jeden projekt czy dwa? Sądząc po mediach, jest to dziś podstawowe pytanie dręczące Polaków, ale przyznam, że jest mi wszystko jedno, ile ich będzie. Od dawna twierdzę, że żadnego nie uda się uchwalić i jeszcze uzyskać podpis prezydenta. Może więc pan prezydent po prostu przedstawi zmiany, jakie potrzebne są w różnych ustawach, aby ułatwić życie związkom partnerskim i zdjąć z Platformy ten ciężar szukania niemożliwego kompromisu, a z mediów obowiązek zadawania tych samych pytań? Od pewnego czasu można zresztą zauważyć, że w miarę jak rząd grzęźnie w dziwnej niemocy, większa część władzy przesuwa się w kierunku prezydenta i coraz więcej decyzji będzie od niego zależało. Może więc Bronisław Komorowski śmiało pójdzie tą drogą?

Jan Koza

Co dzień nowa analiza

POLITYKA INSIGHT – centrum analityczne utworzone przez wydawcę POLITYKI – może się już pochwalić grupą pierwszych stałych klientów. Subskrypcje do codziennego serwisu analiz politycznych i gospodarczych zamówiły firmy z sektora bankowego i ubezpieczeniowego, placówki dyplomatyczne i instytucje życia publicznego, prawie 400 kolejnych odbiorców testuje serwis. Zespołem 20 analityków kieruje Wawrzyniec Smoczyński. Trwają przygotowania do startu angielskiej wersji serwisu.

Więcej o POLITYCE INSIGHT na s. 53.



Kup książkę

Jak skorzystać z fotoradarów



© STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Wzeszłym roku fotoradary zarobiły dla budżetu państwa 32 mln zł, a w pierwszym kwartale tego roku już 22 mln zł. W Sejmie ruszyły prace nad czterema projektami ustaw (PO, PiS, SLD i SP) dotyczących tego, na co przeznaczyć te pieniądze i gdzie stawiać fotoradary. Przypomnijmy, że kilka lat temu posłowie prawie jednogłośnie (poza jednym, najpewniej przez pomyłkę) przegłosowali ustawę, która wszystkie pieniądze z kar wysyła do budżetu państwa. Teraz wszystkie partie proponują, by pieniądze przeznaczyć na poprawę bezpieczeństwa drogowego. Poza tym przedstawiono kilka bardziej radykalnych pomysłów.

Gdzie i jak ustawiać fotoradary?

Co zaskakujące, najbardziej przyjazna kierowcom łapanym przez fotoradary okazuje się Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry, znanego z upodobania do surowych kar. Z 600 rozstawionych

dziś na polskich drogach fotoradarów chce zostawić najwyżej 60 i to tylko przy szkołach i szpitalach. Może liczyć w tej sprawie na poparcie Ruchu Palikota. PiS chce rozstawiać fotoradary według innego klucza: jedynie w miejscach szczególnie niebezpiecznych, czyli takich, gdzie na odcinku co najmniej kilometra w ciągu ostatnich pięciu lat doszło do co najmniej 10 wypadków spowodowanych przekroczeniem prędkości.

SLD nie chce redukować liczby fotoradarów, ale proponuje zlikwidować kaskadowe pomiary prędkości i stawiać fotoradary w odległości co najmniej pięciu kilometrów od siebie. Sojusz będzie też forsować zapis, by skrzynka w konkretnym miejscu stała na 40 miesięcy, a po trzech latach chce weryfikacji, czy i jak fotoradar wpłynął na poprawę bezpieczeństwa. PiS chce też, by Inspekcja Transportu Drogowego (ITD) nie miała już prawa namierzać niepokornych kierowców, poruszając się nieoznakowanymi samochodami z wideoradarami oraz z powietrza (drony, helikoptery). Prawo to zachowywałyby tylko policja. W tym punkcie PiS ma pełne poparcie Sojuszu.

Wszyscy zgodzili się co do tego, że tylko ITD lub Ministerstwo Transportu powinny decydować o rozlokowaniu fotoradarów. Dziś panuje w tej kwestii samowola, którą wykorzystują samorządy, ustawiając je w miejscach, które gwarantują największe wpływy do lokalnych budżetów.

Jak dochodzić prawdy? Na razie nie ma politycznej zgody, co zrobić z właścicielem auta, który na żądanie ITD (sprawuje dziś nadzór nad fotoradarami) nie poznaje lub nie chce rozpoznać się na radarowej fotografii albo zaślania się

niepamięcią, komu pożyczył samochód. W orzecznictwie sądowym już pojawiły się wątpliwości, czy Inspekcja ma prawo żądać takich informacji od właścicieli samochodów. Platforma proponuje więc nadać jej do tego jednoznaczne uprawnienia. SLD wołałby, żeby tylko policja miała możliwość wszczęcia dochodzenia, gdy właściciel nie chce wskazać, kto został złapany przez fotoradar.

Na co pieniądze z fotoradarów?

Natryk Jaki, przedstawiając projekt zio-brystów, twierdzi, że najlepiej utworzyć z nich specjalny Fundusz Poszkodowanych w wypadkach drogowych. Przy okazji dla poprawy bezpieczeństwa zaproponował też zniesienie opłat za autostrady. – *Jeśli 30 proc. ruchu przeniesie się na bezpieczniejsze, bezpłatne autostrady, to liczba ofiar rocznie spadnie o co najmniej 5 proc.* – mówił Jaki. PiS woli przekazywać pieniądze na fundusz bezpieczeństwa ruchu drogowego i budować za nie drogi oraz bezkolizyjne skrzyżowania, a także popularyzować wiedzę o przepisach drogowych. Jednak abso-lutnie nie zgadza się na kupowanie za nie nowych fotoradarów. Platforma i Sojusz chcą powołania Krajowego Funduszu Drogowego, który będzie finansował budowę dróg, ale też kupno nowych fotoradarów.

Pewne są dziś tylko dwie sprawy: pieniądze nie będą już zasilać budżetu państwa i nie ziści się populistyczny postulat ziobrystów, by 10-krotnie zmniejszyć liczbę fotoradarów. Obecnie na polskich drogach stoi 600 fotoradarów, czyli na milion zarejestrowanych samochodów przypada ich 28. W Europie na głowę biją nas Holandia (103/mln) i Francja (70/mln). (DAB.)

Gaz się ułatwia

Adam Grzeszak



Kolejne zagraniczne firmy poszukujące gazu łupkowego informują, że wycofują się z Polski, bo albo nic nie znalazły, albo zmieniły im się plany. Po ubiegłorocznej rezygnacji ExxonMobil w ostatnich dniach podobne komunikaty napłynęły z Marathon Oil i Talisman Energy. Kilka innych redukuje swoje zaangażowanie albo rozważa wycofanie się z Polski. Nawet krajowa Grupa Lotos zadeklarowała, że nie zaangażuje się w łupki. Podczas niedawnej konferencji w Państwowym Instytucie Geologicznym eksperci studzili nadzieje na szybkie odkrycie wielkich złóż gazu łupkowego. Musimy poczekać jeszcze wiele lat (co najmniej do 2020 r.) i jeśli uda się gaz znaleźć, a wydobycie będzie opłacalne, to i tak szanse, abyśmy się wybili na gazową niezależność, są niewielkie.

W Polsce gaz łupkowy stał się politycznym fetyszem, dlatego po okresie euforii, kiedy śnił się o potęgę, dziś trwa oplakiwanie narodowej klęski i szukanie winnych. W przypadku ExxonMobil padł oficjalny zarzut, że Amerykanie potajemnie dogadali się z Gazpromem i wycofują się od nas na życzenie Kremla. Wiele jednak wskazuje, że ucieczka firm gazowych z Polski ma bardziej

prozaiczne przyczyny: biznes jest kosztowny, ryzykowny, a warunki prowadzenia prac niesprzyjające. Brakuje regulacji prawnych, a przewlekłe procedury opóźniają wiercenia. W efekcie dotychczas wykonano zaledwie 43 odwierty poszukiwawcze, a dopiero tysiąc pozwoli coś więcej powiedzieć na temat naszych złóż. Jednak największe obawy budzi ryzyko związane z przygotowywanymi przepisami podatkowymi, które mogą podkopać opłacalność biznesu. Opór budzi też pomysł przydzielania każdej firmie przymusowego państwowego współnika – Narodowego Operatora Kopaliny Energetycznych, NOKE – który bez szczególnych zobowiązań finansowych będzie mógł ingerować w działalność spółki.

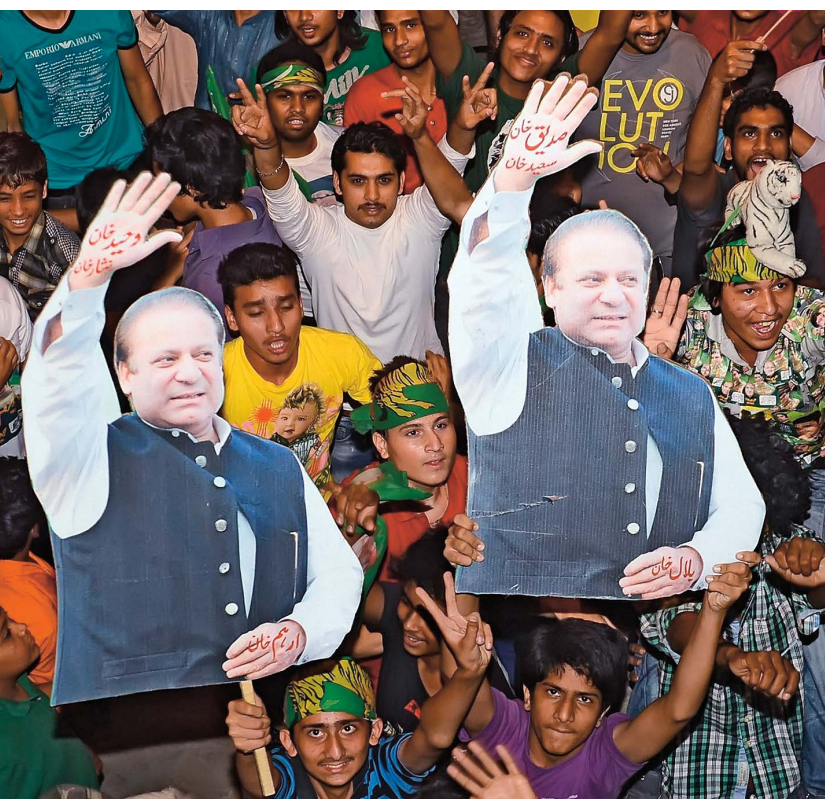
Jednak największą przeszkodą okazała się technologia. Metoda szczelinowania hydraulicznego, która sprawdza się w USA, u nas zawodzi. Gaz w łupkach jest – twierdzą wiertnicy – ale szczeliny szybko się zaciskają i gaz przestaje płynąć. Inny skład chemiczny skał i dużo większa ich głębokość (ok. 3 km) wymagają odmiennej techniki kruszenia oraz płynu szczelinującego. To będzie wymagać długich i kosztownych prac badawczych.



**Mała, czarna, intensywna
w nowym, stylowym opakowaniu**

[Kup książkę](#)





Powrót Lwa

W październiku 1999 r. uciekał z kraju po bezkrwawym przewrocie wojskowym. Dziś 64-letni **Nawaz Sharif** wraca, aby po raz trzeci rządzić Pakistanem. Sukces jego partii (Pakistańskiej Ligi Muzułmańskiej – Nawaz) w sobotnich wyborach parlamentarnych nie jest zaskoczeniem. Wielu obserwatorów przewidywało jednak, że będzie musiał rządzić w trudnej koalicji, a wygląda na to, że wystarczy mu poparcie politycznego planktonu. Okoliczności powrotu Lwa, jak Sharifa nazywają Pakistańczycy, są dla niego szczególne – człowiek, który 14 lat temu odebrał mu władzę, gen. Perwez Musharraf, przebywa dziś w areszcie domowym i oczekuje na proces w sprawie nadużycia władzy. Nauczona tym przykładem generalicja w kampanii wyborczej wycofała się z życia publicznego, co odczytywane jest jako początek budowania cywilnej kontroli nad armią.

Drugie przezwisko Sharifa to Reagan. Cieszy się ogromnym szacunkiem wśród pakistańskich biznesmenów, jako dziedzic rodzinnej fortuny zbudowanej nie na posiadaniu ziemi, co jest standardem wśród pakistańskiej elity, ale na prawdziwym przemyśle. Z uznaniem o Sharifie wypowiadają się też indyjscy politycy, widząc w nim jedynego człowieka w Pakistanie, z którym można rozmawiać o pokoju. Wygląda na to, że z jego wygranej zadowoleni są także pakistańscy talibowie. Nowy-stary premier nie powiedział o nich złego słowa podczas kampanii, dzięki czemu nie doszło do żadnych ataków na jego biura wyborcze. W tej wyborczej euforii łatwo zapomnieć, że gdy w 1999 r. gen. Musharraf wyrzucił Sharifa z kraju, na pakistańskich ulicach wiwatowały wielotysięczne tłumy. Następcy Lwa okazali się jednak jeszcze gorsi.

Chce zwolnić

Niemiecka kampania wyborcza skrzyła na drogi: Sigmar Gabriel, lider opozycyjnej SPD, chciałby wprowadzić ograniczenie prędkości na wszystkich niemieckich autostradach do 120 km na godzinę. Powód? Gabriel cytuje najnowsze statystyki, z których wynika, że na autostradach z limitami dochodzi do mniejszej liczby wypadków niż tam, gdzie można pędzić, ile silnik pozwala. Inicjatywę skrytykował niemiecki automobilklub ADAC (24 maja obchodzi setną rocznicę powstania), przypomina, że autostrady skupiają jedną trzecią ruchu drogowego, ale dochodzi na nich do zaledwie 11 proc. najpoważniejszych wypadków. Według ADAC, znacznie bardziej niebezpieczne są drogi krajowe, bo to tam ginie około 60 proc. uczestników ruchu.

Rząd Angeli Merkel jest tradycyjnie sceptyczny. Minister transportu odpowiada SPD, że i tak na około 40 proc. z 12,8 tys. km autostrad obowiązują jakieś ograniczenia, zazwyczaj do 130 km na godzinę. Zamach na niemieckie przywiązanie do szybkich samochodów i swoboda na autostradach budzi kontrowersje także w samej SPD, od pomysłu dystansuje się m.in. Peer Steinbrück, kandydat partii na kanclerza. Ani jego, ani rządzącej CDU/CSU nie przekonują również argumenty ekologiczne. Choć federalna agencja ochrony środowiska od lat przypomina, że wolniejsza jazda to mniejszy hałas i mniejsza emisja CO₂.



Pomysły z ojczyzny Borata

Wiek osób sprawujących urząd prezydenta Kazachstanu nie może przekraczać 80 lat – z inicjatywą takich zmian w konstytucji wystąpił miejscowy Związek Muzułmanów. W konstytucji, według Związku, powinien znaleźć się również zapis o tym, że prezydent, który osiągnął ten wiek, a zamierza kandydować ponownie, podlegałby karze śmierci. Nowe prawo nie obowiązywałoby obecnego władzcy kraju 72-letniego **Nursultana Nazarbayewa** (po prawej), rządzącego Kazachstanem od 20 lat, lecz dopiero jego następców. W odpowiedzi kazachscy internauci zażądali obniżenia dopuszczalnego wieku o 10 lat i rozciągnięcia nowego prawa na urzędującą głowę państwa.

Związek Muzułmanów Kazachstanu Znany jest także z innych równie oryginalnych inicjatyw, takich jak wprowadzenie zastawu majątkowego od kandydatów na prezydenta kraju, z zaliczeniem doń bydła rogatego, baranich skór i marihuany, czy pomysł „antykorupcyjnych przetargów” na córki wysokich urzędników państwowych. Kazachstan ze względu na skandalizujące małżeństwo córki Nazarbayewa jest nazywany krajem „wpływowych zięciów”, czerpiących korupcyjne zyski z tego tytułu. Inicjatorem chodziło o przetargi na córki wysokich urzędników, w których mógłby uczestniczyć każdy obywatel tego kraju.



Gruzja jest mężczyzną

Rodzice wołają chłopców – dotychczas demografowie przypisywali temu zjawisku wymiar wybitnie regionalny, ograniczony głównie do Chin i Indii. Okazuje się, że mieszanaka zaawansowanej technologii (badana prenatalne) i uwarunkowań kulturowo-ekonomicznych motywuje również gruzińskich rodziców do przeprowadzania wybiórczej selekcji. Gruzja jest pod tym względem europejskim liderem – statystyczna kobieta dokonuje tam trzech aborcji w swoim życiu.

Efekt jest alarmujący – według danych ONZ w Gruzji na każde 100 urodzonych dziewczynek na świat przychodzi dziś 115 chłopców, choć jeszcze w 2000 r. ta relacja była antropologicznie wzorcowa, czyli 100 do 105. Statystycy przewidują, że do 2030 r. stosunek dziewczynek do chłopców na gruzińskich salach porodowych wyniesie dramatyczne 100 do 130. Na początku maja o całkowity zakaz aborcji „dla ratowania narodu” zaapelował zwierzchnik gruzińskiej Cerkwi Elias II. Wkrótce sprawą zajmie się parlament. Problem jednak nie dotyczy samej Gruzji. Według Światowej Organizacji Zdrowia podobne zachwianie równowagi płciowej mają dwa sąsiednie kraje: Armenia i Azerbejdżan. A nadmiar testosteronu w społeczeństwie zawsze pachniał wojną.

© DAVID MIZIN/ARSHVIL/REUTERS/FORUM

Pif-paf!

Cody Wilson, 25-letni student prawa z University of Texas, zbudował pierwszy na świecie plastikowy pistolet. Do jego produkcji potrzebna jest przede wszystkim drukarka przestrzenna, czyli warte kilka tysięcy dolarów urządzenie tworzące trójwymiarowe przedmioty. Jedynym nieplastikowym elementem jest iglica wykonana z przerobionego gwoździa, potrzebny jest także nabój 9 mm. Z wyglądu przypominająca toporną suszarkę do włosów broń Wilsona nazywa się Liberator (na cześć jednostrzałowego pistoletu zrzucanego przez aliantów nad okupowaną Francją). Ledwie wyszła z fazy testów, ale zdążyła już wzbudzić sporo zamieszania.

Wilson jest libertarianinem i założył wzorowany na Wikileaks serwis internetowy, w którym udostępniał przewodniki do samodzielnej produkcji plastikowej broni lub plastikowych części, np. magazynków do karabinu Kałasznikowa i kolb do Gloców. Jednak kilka dni po premierze pistoletu biuro kontroli handlu bronią departamentu stanu zakazało rozpowszechniania plików. Na niewiele się to zdało, bo instrukcję drukowania Liberatora zdążono ściągnąć ponad 100 tys. razy, więc pliki rozlały się po sieci.

Liberator budzi poważne obawy, bo nie widzą go wykrywacze metalu. Pistolet można rozłożyć, zarówno poszczególne części, jak i metalowa iglica nie budzą specjalnych podejrzeń ochrony, co udowodnili dziennikarze brytyjskiego dziennika „Daily Mail”. Bez przeszkód wnieśli rozłożoną broń na pokład strzeżonego pociągu Eurostar z Londynu do Paryża (co prawda bez naboju). Amerykańscy parlamentarzyści już zaczęli zgłaszać pomysły zmian w prawie, które mają ograniczyć dostęp do plastikowej broni, wymarzonej np. dla terrorystów. Kilka lat temu zabroniono wnoszenia na pokłady samolotów większej ilości płynów. Może niebawem przy bramce na lotnisku będą zabierane wszelkie przedmioty z plastiku...

Siedmioro dzieci reżysera Zhanga

Chińska blogosfera żyje sprawą siedmiu dzieci reżysera **Zhanga Yimou**, wytropionych przez oficjalny organ partii „Renmin Ribao” („Dziennik Ludowy”). Trójki z aktualną żoną, aktorką Chen Ting, dwójki z poprzednią i jeszcze dwóch pochodzących z innych związków. Zhang to jeden z najbardziej wpływowych reżyserów światowego kina: trzy nominacje do Oscara, dwukrotnie wygrana Wenecja, raz Cannes i raz Berlin. U siebie miał pod górkę, bo ojciec był oficerem u Czang Kaj-sze-ka. Aby kupić pierwszą kamerę, oddawał krew – opowiadał niedawno POLITYCE (8). Wiele jego słynnych za granicą filmów zatrzymywała chińska cenzura. „Zawieście czerwone latarnie” i „Życie” są do tej pory na indeksie. To on jest autorem „Domu latających sztyletów” i „Cesarzowej”, reżyserował też porażające gigantyzmem i urodą plastyczną widowiska otwarcia i zamknięcia pekińskich igrzysk olimpijskich, co miało być ceną za pogodzenie się z systemem.

Ale internautów dziś to nie bierze, nie daje też satysfakcji, że reżyserowi grozi w sumie niewyobrażalna kara: w przeliczeniu – 80 mln zł. Bo nakaz posiadania tylko jednego dziecka, wprowadzony w latach 70. i surowo egzekwowany, to chyba najboleśniej zdra tkwiąca w chińskim społeczeństwie. W miarę upływu lat praktyczne zasady nieco łagodzą: na wsi moż-

na było mieć drugie dziecko, kiedy jako pierwsza urodziła się dziewczynka, żonie z jednym dzieckiem przysługiwało prawo do drugiego w nowym związku, o przydział na drugie mogli się też starać miejscy jedynacy (ale to w sumie nie więcej niż jedna trzecia rodzin). No i wyjątki od reguły przysługiwały moznym i bogatym. Według kaskiowych komentarzy przypadek Zhanga należy do tej właśnie kategorii.

Słychać, że nowe kierownictwo Xi Jinpinga ma znieść ten niesławny zakaz, pewnie etapami (choć na razie jest oficjalne dementi). Głównie z powodów pragmatycznych: chińskie społeczeństwo się starzeje i demograficzne słupki rysują się bardzo źle.

A wdzięczność obywateli i sympatia do władz, w obliczu wielu napięć społecznych, byłaby pilnie potrzebnym bonusem.



© ZHENG FUDE/IMAGINE CHINA

Wszystko ma się zmienić: krajobraz, bo znikną dzikie wysypiska; gospodarka odpadami, bo śmieci staną się towarem przynoszącym zysk; świadomość obywateli, bo zachęceni będą do ekologicznej segregacji nieczystości; no i spadną ceny wywózki śmieci, bo konkurencja na rynku wymusi obniżki. Takie są oczekiwania, ale – to już pewne – nie mogą się spełnić.

1 lipca rusza największa operacja logistyczna w III RP. Jej przeprowadzenie narzucono samorządom i to na nie spadnie odpowiedzialność za ewentualną klępkę. Na wszelki wypadek samorządy krytykują ustawę, czasem ponad miarę. Do tej pory śmieci nie były ich głównym kłopotem. Teoretycznie odpowiadały za utrzymanie czystości na swoim terenie, ale praktycznie nie potrafiły dopilnować, by mieszkańcy, spółdzielnie i wspólnoty zawierały umowy na wywóz śmieci z rzetelnymi firmami, a w przypadku gmin wiejskich, aby w ogóle zawierano umowy.

Ustawa była konieczna nie tylko, żeby śmieci nie wyrzucano do lasów i na dzikie wysypiska, ale też z powodu wymogów unijnych. Odpady trzeba zagospodarowywać, Polska ma obowiązek dochodzenia do ściśle określonych poziomów recyklingu i odzysku materiałów. Ale nie łudźmy się, że ustawa zadziała jak czarodziejska różdżka, która z dnia na dzień odmieni mentalność rodaków i ukróci złe praktyki stosowane przez niektóre firmy śmieciowe.

Kryteria dla naszych

Za to na pewno Polskę czeka wielki bałagan. Przykład pierwszy z brzegu – stolica. Najpierw wyznaczono stawki za wywóz śmieci dla mieszkańców. Właściciele domków jednorodzinnych zapłacą 89 zł miesięcznie, a jeżeli nie będą segregować odpadów, stawka wzrośnie o 40 proc. Lokatorzy w budynkach wielorodzinnych będą płacić w zależności od liczby osób przebywających na stałe (co nie znaczy, że zameldowanych). Samotny lokator mieszkania za miesięczny wywóz śmieci zapłaci 19,50 zł, dwie osoby – 37 zł, trzy osoby – 48 zł, a cztery i więcej osób – 56 zł. I znów, jeśli nie będzie segregacji, cena idzie w górę o 40 proc. Dotychczasowa średnia cena w stolicy – 15 zł od osoby.

System jest niesprawiedliwy, bo nie wiadomo, dlaczego samotnie mieszkający właściciel domku wolnostojącego ma zapłacić 3,5 razy więcej niż lokator mieszkania w bloku, chociaż wytworzy dokładnie tyle samo śmieci. Nawet warszawscy radni PO to dostrzegli, bo 8 maja zaapelowali do prezydenta Hanny Gronkiewicz-Waltz o ponowne przeanalizowanie wyliczenia. Cena jest wzięta z sufitu, miasto stołeczne Warszawa nie ma jeszcze bowiem bladego pojęcia, jakie będą rzeczywiste koszty zbiórki i utylizacji odpadów. Będzie można je wyliczyć dopiero po rozstrzygnięciu przetargów na operatorów śmieciowych w stołecznych gminach.

Agnieszka Kłęb, rzeczniczka warszawskiego ratusza, informuje, że przetarg (a w rzeczywistości dziewięć przetargów, bo na tyle rejonów podzielono miasto) ogłoszono 30 kwietnia, a na jego rozstrzygnięcie wyznaczono 40 dni. Kryteria przetargowe ustalono na pozór rozsądnie, bo nie wyłącznie cena usługi będzie decydująca, jak w wielu innych gminach w Polsce. W przypadku Warszawy cena to 55 pkt na 100 możliwych. Do zdobycia jest jeszcze 10 pkt za wysokiej jakości tabor samochodowy i 35 pkt za posiadane przez firmy własne składowiska i instalacje do przerobu śmieci (w tym spalarnie i urządzenia do biochemicznej utylizacji). Na oko wszystko wygląda dobrze, ale diabeł siedzi w szczegółach. Takie warunki przetargu może spełnić tylko miejska spółka MPO, bo jedynie ona ma spalarnię śmieci. Jeżeli faktycznie to MPO zwycięży w przetargu, posypią się protesty innych firm, miasto będzie zobowiązane je rozpatrzyć i być może ogłosić nowy przetarg. A to oznacza, że 1 lipca system nie ruszy.

– Z informacji, które do nas spływają, wynika, że w kwietniu 48 proc. gmin nie ogłosiło jeszcze przetargów – mówi dyrektor departamentu gospodarki odpadami Ministerstwa Ochrony Środowiska Małgorzata Szymborska. Gminy tracą czas, głowiąc się nad ustaleniem warunków przetargowych. Miasta,

Prawo śmieciowe

AGNIESZKA OLESZKIEWICZ, PIOTR PYTLAKOWSKI





1 lipca wchodzi w życie rewolucyjna ustawa śmieciowa. Kilka tygodni, które pozostało, to czas na dopięcie ostatniego guzika. Ale samorządy wciąż mocują się z guzikiem pierwszym. Będzie wielka wsypa?

w których działają komunalne firmy śmieciowe, starają się wyznaczać kryteria pod nie. W Toruniu to się udało, bo tylko miejskie przedsiębiorstwo przystąpiło do przetargu. We Wrocławiu nagle zmieniono specyfikację przetargową, co bez wątpienia opóźniło całą procedurę, ale poprawiło sytuację niektórych podmiotów. W gminie Lubrza (woj. opolskie) wójt podjął decyzję o nieogłaszaniu przetargu – śmieci nadal będzie wywozić jednostka budżetowa należąca do gminy. Wójt świadomie złamał ustawę nakazującą przetargi, w których startować mogą wyłącznie spółki prawa handlowego. Tłumaczy, że uczynił to z troski o rynek pracy w Lubrzy – musiałyby zwolnić trzy osoby. Samorząd z Inowrocławia zaskarżył ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, bo uznał, że stawia w niekorzystnej sytuacji należący do miasta zakład oczyszczania. TK nie podał jeszcze terminu rozpatrzenia skargi.

Dokąd pojedą śmieci

Specjaliści z branży przewidują, że po 1 lipca lista tych firm zostanie zdziesiątkowana. W Polsce działa ich kilka tysięcy, w samej Warszawie prawie 130. Do tej pory każdy zarządca lub właściciel nieruchomości na własną rękę zawierał umowę z firmą odbierającą śmieci. Teraz powstaną lokalne monopole. Jeżeli w stolicy przetargi na obsługę dziewięciu regionów wygra MPO, nie podoła obowiązkom, zatrudni podwykonawców i znów pojawi się problem znany z placów budowy autostrad – opóźnienia w płatnościach.

Na rynku pozostaną nieliczni, reszta splajtuje. Dla branży zatrudniającej kilkadziesiąt tysięcy pracowników to dramat. Dlatego w przetargowym wyścigu wszystkie chwytaki są dozwolone, firmy zaniżają ceny, aby tylko zdobyć kontrakt. Jeżeli jedynym kryterium jest cena usługi, a tak ustawiono warunki w większości gmin, to wygra najtańsza oferta. Tak się już stało w podwarszawskim Piasecznie. Wygrała mała firma, która dostanie 8,40 zł za każdą osobę, od której zabierze odpady, podczas gdy realna cena gwarantująca, że śmieci trafią do homologowanych składowisk, posiadających status Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych (RIPOK), wynosi powyżej 12 zł. W Piasecznie wśród przegranych jest m.in. znana firma BYŚ, posiadająca na stołecznych Bielaniach nowoczesną, wyposażoną kosztem kilku milionów euro sortownię. Wiceburmistrz Bieleń Grzegorz Pietruczuk boleje nad faktem, że sortownia firmy BYŚ pracuje zaledwie 8 godzin na dobę, bo tylko tyle trafia do niej odpadów. – *Jej moce przewidują pracę całodobową* – mówi. Śmieci z Piaseczna na pewno tam nie trafią. Dokąd pojedą?

W niektórych województwach status RIPOK można było uzyskać na podstawie jedynie decyzji środowiskowej, czyli nawet przed rozpoczęciem budowy instalacji. Na liście RIPOK w południowej części województwa małopolskiego zostały ujęte instalacje, które ewidentnie nie spełniają kryteriów ustawowych. Nadanie im statusu instalacji regionalnych sprawia, że mogą dziś startować w tych samych przetargach co zaawansowane technologicznie zakłady przetwarzania wyposażone w nowoczesne technologie za miliony euro. – *W nieuczciwej konkurencji, zaniżając cenę za odbiór śmieci nawet do 4 zł od mieszkańca, zdobywają na naszych oczach rynek* – mówi Ewa Kęsek, prezes Zakładu Unieszkodliwiania Odpadów z Myślenic, nowoczesnej firmy, która w przetargach cenowych nie ma szans i grozi jej plajta.

Tanio, czyli drogo

Twórcy ustawy tylko pozornie zadbali, by śmieci nie trafiały na nieprzygotowane składowiska. Na samorządy nałożono obowiązek kontroli całej drogi śmieciowej, ale gminy nie mają do tego odpowiednich narzędzi. Odpady, które wyjadą z ich terenu, nie będą monitorowane. Niektóre będą krążyć po Polsce, aby trafić tam, gdzie zostaną przyjęte za najmniejsze pieniądze. Eksperti przewidują, że wzmocni się szara strefa handlu tzw. kodami (które informują, do jakiej grupy śmieci są zakwalifikowane). Wystarczy kupić odpowiedni kod, aby odpady trafiły na wysypiska, które nie są dla nich przeznaczone, ale za to są tańsze.

► Sito kontrolne nie jest szczelne. Inspektoraty Ochrony Środowiska pilnują głównie przestrzegania tzw. poziomów odzysku w poszczególnych kategoriach odpadów. Marszałkowie województw sprawują nadzór nad RIPOK, ale mogą dowolnie zonglować ich dopuszczeniem do działania. Nikt natomiast nie będzie w stanie sprawdzić, dokąd faktycznie pojadą śmieci np. z Piaseczna. – *Znikające śmieci to poważna groźba* – uważa wiceburmistrz Bielan Grzegorz Pietruczuk.

Każdy Polak produkuje rocznie ok. 320 kg odpadów. Dane otrzymane przez Związek Gmin Wiejskich RP pokazują, że cena opłaty od mieszkańca oscyluje w kraju średnio w granicach 10–15 zł miesięcznie (drożej w dużych miastach), czyli 120–180 zł rocznie. Realny koszt odbioru, przewozu i przetworzenia takiej ilości odpadów w nowoczesnych technologiach sięga ok. 400 zł. Prosty rachunek pokazuje, że odpady od tych, którzy są zadowoleni, bo zapłacą najmniej, nie trafią do drogiej instalacji, ale do prymitywnych składowisk, zwanych dziurami w ziemi.

Deklaracje absurdu

Podstawą nowego systemu są deklaracje mieszkańców – ile osób mieszka w lokalu, jaki jest metraż albo zużycie wody. I wreszcie, czy śmieci będą segregowane. Za niezłożenie deklaracji w terminie grozi kara finansowa. Jednak w wielu gminach lokatorom nie dostarczono jeszcze formularzy, znajdują się w Internecie, ale nie wszyscy zaglądają na strony internetowe gmin, takiego obowiązku jak dotąd nie wprowadzono.

W Warszawie, jak mówi rzeczniczka urzędu, liczbę deklaracji, które już spłynęły do gmin, ocenia się w tysiącach, a nie w dziesiątkach tysięcy. Za późno dotarły do mieszkańców, za słaba była też kampania informacyjna, uświadamiająca, jak ważne jest ich wypełnienie. Deklaracje będą więc wpływać w ostatniej chwili, a to na ich podstawie każda stołeczna gmina wybierze dla poszczególnych spółdzielni i wspólnot sposób zbiórki śmieci – albo segregowane, albo zmieszane.

Deklaracje budzą też inne emocje. Do generalnego inspektora ochrony danych osobowych napływają skargi, że pytania w formularzach naruszają prawo. Niektóre gminy chcą wiedzieć nie tylko, ile osób mieszka w danym lokalu, ale domagają się podania ich peseli i określenia stopnia pokrewieństwa. Po co – nie wiadomo. Nadmierna ciekawość może spowodować, że GIODO zaneguje prawdziwość deklaracji, trzeba będzie je wymienić, a to kolejne opóźnienie.

Deklaracje to metoda zbiorowego policzenia Polaków. Ilu, gdzie faktycznie mieszka (co nie ma wiele wspólnego z miejscem urzędowego zameldowania) i gdzie zostawia swoje śmieci. Być może docieklive pytania w formularzach to próba ustalenia prawdy o rzeczywistych migracjach. W warszawskich deklaracjach pojawiło się pytanie o pesel, co wzbudziło protesty. Warszawa ma szczególnie problem z tzw. słoikami. W stolicy pracuje ponad 600 tys. osób zameldowanych nieraz w bardzo odległych rejonach kraju. Wynajmują mieszkania, kwatery, pokoje przy rodzinach. Nikt tego nie ogarnia, nie szacuje kosztów dla miasta. Słoiki giną w dziurze między adresem zameldowania a miejscem faktycznego pobytu. Ani tam, ani tu nie płacą za wytworzone odpady. Po rewolucji śmieciowej koszty spadną na rdzennych mieszkańców, jest bowiem wielce wątpliwe, że słoiki wyjdą na powierzchnię, ujawnią się i będą płacić. Część być może to uczyni, ale pozostanie szara strefa, której rozmiarów miasta nie będą w stanie policzyć.

Deklaracje, które do tej pory wpłynęły, nie dają podstawy do szacunków, tym bardziej że samorządy nie mają odpowiednich narzędzi do ich weryfikacji. W gminach wiejskich, gdzie każdy zna każdego, a deklaracje roznoszą sołtysi, łatwo się policzyć. W metropoliach panuje anonimowość. Każda próba dokładnego sprawdzenia deklaracji grozi kolejnym odroczeniem godziny zero – od której ma zacząć nowy system.

Opóźnienia mogą oznaczać, że po 1 lipca w niektórych gminach śmieci nie będą odbierane, bo nie zostanie wybrana odpowiednia firma. – *Samorządom dano za mało czasu na przygotowania*

– uważa Grzegorz Pietruczuk z gminy Bielan. – *To zapowiada chaos.*

Gminom brakuje czasu, a mieszkańcom podstawowych informacji. W wielu miejscach wciąż nie wiedzą, ile będą płacić i za co. Każdy, kto miał podpisaną umowę z firmą odbierającą śmieci, powinien ją wypowiedzieć. Jeżeli tego nie zrobi, będzie płacić podwójnie: osobno firmie, osobno gminie. Może dojść do sytuacji, że do momentu skutecznego wypowiedzenia mieszkańcy będą płacić firmie, która odpadnie z przetargu i w ogóle przestanie odbierać śmieci.

Suche, mokre, szkło

Gminy mają obowiązek poinformować mieszkańców, jak sortować odpady, ale tego nie czynią. Jak Polska długa i szeroka wszyscy dopytują o rodzaje pojemników i sposób sortowania. Jedyne, co się przebiło do opinii publicznej, to widmo kary – jeżeli w osiedlu obowiązywać będzie stawka za śmieci posortowane, a okaże się, że jeden z lokatorów wyrzuca odpady zmieszane, to pozostali poniosą konsekwencje. Cena wywozu śmieci wzrośnie średnio o 40 proc. W niektórych spółdzielniach mieszkaniowych już zalutowano otwory do zsyków, a zarządy zastanawiają się, jak pilnować lokatorów. Zapowiadają się sceny jak z filmów Stanisława Barei – nocne dyżury przy śmietnikach, kłódky na pojemnikach i donosy na sąsiadów.

Firmy albo gminy powinny wszystkim dostarczyć odpowiednie pojemniki lub worki na odpady segregowane. Tradycyjnie są dzielone na metal, plastik, papier i szkło, ale można to uprościć, dzieląc śmieci na suche, mokre i szkło. Ulotka Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy skierowana do mieszkańców na temat nowego sposobu sortowania odpadów prezentuje system trójworkowy w trzech kolorach: czarny, czerwony, zielony. Szczegółowo wymienione są przedmioty, które można wrzucić, i te, których nie należy wrzucać do poszczególnych worków.

I tak do czerwonego worka wrzucamy wszystko to, co nadaje się do recyklingu, a więc odpady suche, do czarnego wszystkie pozostałe odpady z gospodarstwa domowego, w tym także odpady organiczne z kuchni, a do zielonego szkło. W narzuconych przez ustawodawcę warunkach specyfikacji przetargowych postawiono warunek, aby firmy śmieciowe posiadały tabor do odbioru różnych rodzajów odpadów. Osobne pojazdy do zmieszanych, osobne do segregowanych. Teoretycznie daje to gwarancję, że firmom nie opłaci się zbierać segregowanych śmieci, a potem wrzucać wszystko do jednego worka. Segregowane pojadą do RIPOK, gdzie będą poddane procesowi odzysku, a zmieszane (tzw. mokre) na wysypiska, na których czeka je utylizacja.

Tak naprawdę istnieją systemy sortowania, dla których jest absolutnie bez znaczenia, czy oddzieliliśmy suche od mokrego lub papier od szkła i metalu. Tylko że takie technologie są najdroższe. Roboty, które potrafią patrzeć oczami kamer odróżniającymi butelkę PET od PE, czy urządzenia wytwarzające pole elektromagnetyczne na linii sortowniczej kosztują miliony, ale gwarantują odzysk do 90 proc. materiałów nadających się do recyklingu. Takie w pełni zautomatyzowane sortownie pracują m.in. w Norwegii, Niemczech i Belgii. Ludzie nie wybierają tam surowców z hałdy lub z prymitywnej taśmy, tylko kontrolują pracę robotów. Do Polski automatyzacja też już dotarła (np. wspomniana wyżej sortownia na Bielanach), ale nadal przeważają archaiczne urządzenia i zwykłe wysypiska, na których żywią się wrony.

Twórcy ustawy śmieciowej zapowiadali, że spowoduje ona prawdziwą rewolucję, od 1 lipca Polacy staną się proekologiczni. Na razie rewolucja oznacza chaos i lęk przed zmianami, bo wszystko odbywa się w trybie nakazowym: deklarować, sortować, płacić! Najtrudniejsze okazało się, żeby po ludzku wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi.



Inspirujemy do działania

Spośród wszystkich instytucji sektora finansowego najwięcej inicjatyw Citi Handlowy zostało wyróżnionych przez Forum Odpowiedzialnego Biznesu w raporcie „Odpowiedzialny biznes w Polsce. Dobre praktyki”:

1. Moje finanse
2. Od Grosika do Złotówki
3. Tydzień dla Oszczędzania - Światowy Dzień Oszczędzania
4. Budowanie Niezależności Finansowej Kobiet
5. Gra internetowa „Pierwszy milion”
6. Program Wolontariatu Pracowniczego w Citi Handlowy
7. Wolontariat Seniorów
8. Odzyskiwanie Dziel Sztuki
9. Więcej drzew dzięki Tobie
10. Wdrożenie Systemu Zarządzania Środowiskowego (SZŚ)

Fundacja Kronenberga

citi handlowy

www.citihandlowy.pl
Bank Handlowy w Warszawie S.A.

Kup książkę

citi handlowy

www.kronenberg.org.pl
Fundacja Kronenberga przy Citi Handlowy

Odkuwanie głów

Szkoła jest wciąż potrzebna, ale nie taka.



JACEK ŻAKOWSKI

Zadanie nr 3 w tegorocznym maturalnym teście poziomu podstawowego z języka polskiego brzmiało:

„Określenie *horyzont poznania* użyte przez autora tekstu w akapicie 2. to

- A. anafora.
- B. metafora.
- C. porównanie.
- D. apostrofa.

Zaznacz poprawną odpowiedź”.

Wiecie, co to anafora? Nie wiecie! Nie załamujcie się. Pytałem redaktorów i dziennikarzy – w końcu zawodowo zajmujących się pisanie – też nie wiedzieli. Po jaką cholerę ma to wiedzieć 325 tys. tegorocznych maturzystów?

Wiele osób uważa, że wiedza nie szkodzi. Nie zgadzam się z tym poglądem. Głupia,

zbyticzna, niepotrzebna wiedza szkodzi. I to bardzo. W życiu jest coś za coś. Jak się ma coś zbyticznego, to prawie zawsze nie ma się czegoś potrzebnego. Młodzi ludzie w tym roku zdający maturę potrzebują bardzo wielu kompetencji, informacji i umiejętności, żeby dać radę w europejskiej i globalnej konkurencji. Dlatego jako ojciec zwyczajnie sobie nie życzę, żeby mojemu dziecku za moje pieniądze zwracano głowę takimi głupotami. Jeżeli szkoła nie ma nic mądrzejszego do zaproponowania dzieciom, to niech już lepiej pobawią się w Indian albo połażą po drzewach.

Jako podatnik jestem wściekły, że moje podatki są marnowane na zaśmiecanie głów młodego pokolenia zbędnymi informacjami. Jako obywatel wstydę się, że moje państwo zadaje młodym Polakom takie głu-

pie pytania i nawet nie rozumie, iż są one głupie. Jako Polak jestem zaniepokojony, że od anafory (i podobnych pytań) będzie zależało, kto się dostanie na studia lub na jakie, czyli co się z nim dalej stanie, kim będzie mógł zostać w przyszłości i jaki będzie mógł mieć wkład w życie społeczeństwa.

Najgorsze nie jest jednak to, że państwo zmusza młodzież do odpowiadania na głupie pytania. Najgorsze jest to, że duża część młodzieży prawidłowo na nie odpowiada. Bo prawidłowo nie znaczy w tym przypadku – słusznie. Słuszna odpowiedź na pytanie państwa o anaforę brzmi: „puknijcie się w głowę”. Jeżeli młodzi Polacy w większości nauczyli się, czym jest anafora, to znaczy, że zostali złamani i zgodzili się na aktywny udział w absurdzie. Czyli, że nauczono ich konformizmu. A my,